

Cezary RITTER .

## WYBÓR I ODPOWIEDZIALNOŚĆ

„Nie ma wolności bez Solidarności”.

W stanie wojennym, po delegalizacji związku „Solidarność”, było to hasło-odpowiedź społeczeństwa na podejmowane przez władze próby „normalizacji” życia w kraju. Odpowiedź tę, trzeba przyznać, dostrzeżono: w drugiej połowie lat osiemdziesiątych na gmachu ówczesnego KC PZPR w Warszawie pojawił się sporych rozmiarów transparent z napisem: „Nie ma wolności bez odpowiedzialności”. Kiedy z kolei w lutym 1989 roku doszło do rozmów okrągłego stołu, reprezentujący w nich stronę opozycyjną redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego” Jerzy Turowicz nawiązał do tego napisu. Zawarta w nim diagnoza, twierdził, jest błędna – należało raczej napisać: „Nie ma odpowiedzialności bez wolności”. Społeczeństwo, które nie ma wpływu na życie publiczne – nie może wybierać swych przedstawicieli do organów władzy państwowej i samorządowej, pozbawione jest prawa do inicjatywy obywatelskiej i gospodarczej – nie ponosi odpowiedzialności za to, co się w państwie i z państwem dzieje. Spada ona na tych, którzy cieszą się tymi wolnościami i mogą decydować o biegu spraw publicznych, czyli – wówczas, przed 1989 rokiem – na przedstawicieli komunistycznych władz partyjno-państwowych.

W roku 1989 weszliśmy w Polskę w nową sytuację polityczną, społeczną i gospodarczą. Rozpoczął się trudny i mozolny proces wielostronnych przekształceń. Dziś, po kilku latach, wielu z nas patrząc na otaczającą rzeczywistość – widząc w niej obszary niesprawiedliwości, ubóstwa, prywaty – doznaje uczucia znużenia i rozczarowania: nie jest to „Polska przemienionych kołodziejów”. Jest to jednak Polska nasza: od kilku lat każdy z nas może zabierać głos w sprawach publicznych, wraz z innymi tworzyć związki, stowarzyszenia, fundacje, partie dla osiągnięcia przez siebie wybranych celów. Kilka już razy szliśmy (bądź nie, ale zawsze był to nasz wybór) do urn, aby zdecydować, kto będzie nas reprezentował jako głowa państwa, poseł i senator w parlamencie lub radny w samorządzie lokalnym. Może się to komuś wydać dziwne, ale partyjne hasło lat osiemdziesiątych nie jest pozbawione racji, tyle że wówczas zabrakło przesłanek, aby je w ogóle racjonalnie rozpatrywać. Obecnie jednak nie możemy nie dostrzegać, że odpowiedzialność jest niezbędnym warunkiem utrzymania odzyskanej wolności. „Wolność jest celem, którego mogą bronić jedynie ludzie odpowiedzialni” – pisał liberalny ekonomista Milton Friedman.

## CZY LUD MOŻE BYĆ WROGIEM LUDU?

W państwie demokratycznym każdorazowe wybory przynoszą odpowiedź na pytanie, kto przez następne kilka lat będzie sprawował w nim najwyższe urzędy; komu powierzymy obowiązek stanowienia praw, władzę ich wykonywania, reprezentowania kraju wobec świata. Na tym właśnie polega wartość demokracji, iż „rządzonym gwarantuje możliwość wyboru oraz kontrolowania własnych rządów, a także – kiedy należy to uczynić – zastępowania ich w sposób pokojowy innymi” (*Centesimus annus*, nr 46). Wynik wyborów prezydenckich w Polsce to nie tylko nazwi-

sko nowego prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. To także odpowiedź na pytanie, czy jesteśmy krajem ludzi odpowiedzialnych. To, jak wielu z nas idzie do wyborów i kogo wybieramy, stanowi dopiero pełny wynik wyborów prezydenckich. Innymi słowy, wybory prezydenckie, jak i każde inne w obecnym czasie, stawiają na nowo kwestię, czy wolność w Polsce zapuszcza korzenie, czy też jest zagrożona.

Skąd może przyjść to zagrożenie? Od takiej czy innej orientacji politycznej lub jakiegoś polityka? Oczywiście, tak. Przede wszystkim jednak w państwie demokratycznym, zwłaszcza w momencie powszechnych wyborów, zagrożenie – ale i bariera przeciw niemu – bierze się ostatecznie z wolnego głosu ludu. Jeśli totalitaryzm polegał na tym, że polityka „interesowała się” życiem każdego obywatela, to demokracja polega na tym, że każdy obywatel powinien interesować się polityką. Niektórzy z nas może tego nie lubią, ale któż powiedział, że demokracja nie jest ustrojem uciążliwym? W totalitaryzmie władza wzywała obywateli do stałej czujności, „bo wróg (imperialista) nie śpi”. Lecz w demokracji trzeba być o wiele bardziej czujnym! To my sami możemy okazać się największymi przyjaciółmi lub najbardziej niebezpiecznymi wrogami naszej wspólnej wolności. Może to właśnie miał na myśli pewien pisarz, gdy stwierdzał: „Spotkaliśmy wroga, jesteśmy nim my sami”...

Kiedy lud może okazać się wrogiem swojej własnej wolności? Jeśli pytanie to stawiamy w kontekście wyborów, odpowiedź wydaje się prosta: gdy dokonuje złego wyboru bądź gdy go zaniecha. Nie sądzę jednak, aby ta odpowiedź mogła nas zadowolić.

### CZY DEMOKRACJA JEST DZIŚ ILUZJĄ?

Kiedy Arystoteles wskazywał na demokrację jako jedną z trzech moralnie uprawomocnionych form ustrojowych państwa, zwracał uwagę, aby wielkość społeczności demokratycznej nie była zbyt duża. Skoro każdy spośród ludu ma wypowiadać się i podejmować decyzje o tym, co jest słuszne w sprawach polis, nie mogą one przekraczać możliwości jego poznania i zrozumienia. Co jednak uczynić, gdy społeczność demokratyczna liczy sobie kilkadziesiąt milionów obywateli?

Odpowiedzi tu bywają różne. Jedni, pesymiści, są przekonani, iż demokracja w społeczeństwie masowym oznacza właściwie koniec demokracji, przeradza się w dyktaturę mas. Bieg zdarzeń w XX wieku zdaje się być adwokatem tego poglądu. Na tej kanwie powstały książki-raporty o człowieku i społeczeństwie w dobie przebudowy, buncie mas czy samotnym tłumie. Są także optymiści (jest ich chyba coraz mniej), którzy w niezależnych mass mediach upatrują narzędzie mogące pomóc ludowi w rozpoznaniu i zrozumieniu tego, co jest prawdziwe i dobre w sprawach publicznych. Jednak, jak w niedawnym wywiadzie telewizyjnym powiedział Czesław Miłosz, współczesne mass media coraz bardziej przypominają śmietnik, przed którym człowiek pragnący zachować jako taką wewnętrzną równowagę powinien się raczej chronić.

Są wreszcie nie pozbawieni wiary w człowieka realisci. Wierzą oni, że człowiek, mając skłonność do czynienia zła, potrafi także wznieść się ku dobru, że jest istotą społeczną, a więc w sposób naturalny szukającą drugiego, oraz że ta społeczna natura człowieka realizuje się nie tylko, i nawet nie przede wszystkim, w państwie, ale w całym szeregu tzw. społeczności pośrednich, wśród których podstawową jest rodzina. „Nie będzie więc przesadą powiedzieć, iż życie narodów, państw, organizacji międzynarodowych «przebiega» przez rodzinę” (*List do Rodzin Ojca Świętego Jana Pawła II*, nr 15). Dobre, kochające się, szczęśliwe i trwałe rodziny to fundament silnego, dostatniego państwa. Rozpad rodzin to kryzys państwa i kryzys demokracji.

### RODZINA I WOLNE SPOŁECZEŃSTWO

Zatrzymajmy się zatem przez chwilę przy naszych rodzinach, zaczynając od sprawy na pozór prozaicznej. Jak wygląda przeciętny dom rodzinny w Polsce? Nie wiem, czy są prowadzone jakieś

statystyki w tej materii, ale odwiedzając krewnych i znajomych doszedłem szybko do przekonania, iż jest to dom, z którego wyrzucono stół, zastępując go ławą. Stół to spory mebel, ława jako mniejsza (a mieszkania ciasne) jest bardziej poręczna. Lecz co wspólnego ma zastąpienie stołu ławą – z naszą wolnością, demokracją, w szczególności z wolnymi demokratycznymi wyborami, na przykład prezydenta? Ma, i to sporo! Zauważmy – jeżeli jeszcze pamiętamy! – że stół to miejsce, przy którym rodzina się spotyka na wspólnym posiłku (przy obiedzie lub kolacji po dniu pracy) i rozmowie. Trudno o lepszą okazję do rozmowy o wszystkim, co dla członków rodziny jest ważne. Rozmowy, a nie tylko wymiany informacji! To tutaj, przy rodzinnym stole, „człowiek otrzymuje pierwsze i decydujące wyobrażenia związane z prawdą i dobrem, uczy się, co znaczy kochać i być kochanym, a więc co konkretnie znaczy być osobą” (CA, nr 39).

Inaczej przy ławie: każdy siedzi bokiem (bo fotele tak są ustawione), trzyma swój talerz na kolanach i gapi się w centralnie ustawiony mebel w pokoju, czyli w telewizor. Czasem wymieni z kimś uwagę na temat zmieniających się obrazków („przyjeżdża Zaczyk do Englerta i mówi mu, żeby się nie żenił z Kwiatkowską”), ale nie rozmawia. W wielu naszych rodzinach przestaliśmy ze sobą rozmawiać, zwłaszcza przestaliśmy rozmawiać o sprawach ważnych. Czy rozmowa w rodzinie, na przykład o tym, na kogo głosować, to sprawa ważna? Można oczywiście uznać, że sprawy ważne w rodzinie kończą się na zdrowiu dzieci. Reszta pozostaje poza obszarem wspólnej troski i odpowiedzialności małżonków i rodziców. Nawet niektórzy kandydaci do urzędu prezydenta podczas kampanii chętnie deklarowali, iż w domu o polityce nie rozmawiają.

Można demokracji bronić lub ją krytykować. W jednej i w drugiej sprawie uczyniono, jak wspomniano, wiele. Niezależnie od dorobku obu tych tradycji można się chyba zgodzić, że demokracja to ustrój oparty na rozmowie. I dlatego rodzinny stół jest tak ważny dla demokracji – stół, nie ława! Stół dla rodziny jest tym, czym rynek dla miasteczka. Tu się ludzie spotykają, wymieniają myśli, rozmawiają, tu zaprasza się przyjezdnych. Jeśli nasze rodzinne domy, gdzie człowiek w sposób naturalny jest najbliżej drugiego człowieka, nie będą miejscem, w którym ludzie ze sobą poważnie rozmawiają, a młodzi uczą się rozmawiać, to nie widzę żadnego powodu, dlaczego miałyby nim być na przykład gmach parlamentu.

Jeszcze raz przywołajmy pewną myśl Milтона Friedmana: „Rodzina, w większym stopniu aniżeli jednostka, była zawsze i nadal pozostaje podstawową cegiełką społecznej budowli, choć jej pozycja wyraźnie słabnie – jeden z najbardziej godnych pożałowania skutków rosnącego paternalizmu państwa”.

## PÓŻNY KOMUNIZM CZY PÓŻNY KAPITALIZM?

Paradoksem systemu kolektywnego jest to, iż pozostawił po sobie społeczeństwo zatomizowane. W gruncie rzeczy żyliśmy obok siebie, lecz każdy z nas osobno. Często było tak nawet w naszych rodzinach (czego symbolem niech tu pozostanie wspomniana już wcześniej ława). Razem byliśmy wówczas, kiedy „byliśmy przeciw”. Politycy i publicyści od czasu do czasu – na przykład przy okazji kampanii wyborczej – zastanawiają się obecnie, czy grozi nam „recydywa komunizmu”. Nawiązując do oceny kapitalizmu zawartej w *Centesimus annus* i nieco ją trawestując, można tu stwierdzić: „Odpowiedź jest oczywiście złożona”.

Jeśli ktoś mówiąc o komunizmie ma na uwadze czerwone krawaty, poemat *Dobrze!* i ideologię rewolucyjnego zbawienia świata, to oczywiście taki komunizm już nie powróci; został dość dawno pogrzebany – i to przez samych komunistów. Jest jednak komunizm późny: komunizm biurokratyzowany; komunizm, który „pogodził się” z niesprawiedliwością społeczną, zainteresowany jedynie utrzymaniem władzy. To właśnie ten komunizm odszedł (czy raczej zbierał się do odejścia) w 1989 roku, i zawsze może powrócić pod jakąkolwiek postacią. Polega on na b r a k u s o l i d a r n o ś c i. Jeśli więc ktoś pyta, czy grozi nam „recydywa komunizmu”, odpowiedź brzmi: tak, grozi nam brak solidarności.

Jednak brak solidarności – czyli moralnej odpowiedzialności za drugiego oraz za to wszystko, co dotyczy nas wspólnie – oznacza zawsze to samo, niezależnie od tego, czy mamy komunizm czy demokrację. (Czy ktoś w Polsce pamięta słowa Papieża o solidarności wypowiedziane w Gdańsku na Zaspie w 1987 roku? Czy już są nieaktualne?) Także dziś w Polsce zarówno nasza krucha demokracja, jak i rodzący się z trudem wolny rynek, bez ogólnospołecznej i ogólnonarodowej solidarności Polaków, nie zachowują na dłuższą metę jakże potrzebnej żywotności, efektywności i dynamiki. Zostaną przygniecione przez „klientelizm”: prawa dla wszystkich będą zastąpione przywilejami dla niektórych, współpraca i konkurencja w ramach rynku będą wyparte przez system promujący tych, którzy mają lepsze „dojścia” do zamówień rządowych. Coś podobnego mogliśmy w ostatnich latach zobaczyć we Włoszech, w naszym przypadku byłoby to pośmiertne zwycięstwo dojrzałego marksizmu i klęska polskiej niedojrzałej solidarności. Czyżby rację mieli ci, którzy mówili o historycznym procesie konwergencji komunizmu i kapitalizmu w ich dojrzałej fazie?

### NIE MA WOLNOŚCI BEZ SPRAWIEDLIWOŚCI

„Moi drodzy współobywatele: od czterdziestu lat w tym dniu słyszeliście z ust moich poprzedników rozmaite wariacje na ten sam temat: jak pomyślnie rozwija się nasz kraj, ile milionów ton stali wyprodukowaliśmy, jak bardzo wszyscy jesteście szczęśliwi, jak ufamy naszemu rządowi i jak szerokie perspektywy stoją przed nami. Przypuszczamy, że nie zaproponowaliście mnie na to stanowisko po to, abym i ja także miał was okłamywać”. Słowa te, wówczas jeszcze i do Czechów, i do Słowaków, wypowiedział prezydent Vaclav Havel w swoim pierwszym orędziu noworocznym. Było to krótko po „aksamitnej rewolucji” w Czechosłowacji, po „ostatecznej rewolucji”, czyli rewolucji sumienia (jak ujął to George Weigel), w Europie Środkowo-Wschodniej. Havel wiedział, że musi podjąć dialog ze społeczeństwem, z którym przedtem władza dialogu nie prowadziła, społeczeństwem zniszczonym materialnie, ale szczególnie zniszczonym moralnie, i stąd jedyną podstawą tego nowego dialogu może być mówienie prawdy.

Jeśli prawda staje się przedmiotem wystąpienia głowy państwa, jeśli czyni on z niej podstawę publicznej debaty w państwie demokratycznym, to znaczy, iż prawda jest podstawowym problemem demokracji. Każdy, kto należy do ludu, zostaje w państwie demokratycznym postawiony przed problemem prawdy. Ponieważ prawda, o której tu mowa, odnosi się do człowieka, do tego, co jest dobre, a co złe dla każdego obywatela w państwie, ma ona charakter moralny. Jeżeli państwo demokratyczne – zapewne ku zdziwieniu Platona – jest państwem filozofów, to dokładnie mówiąc jest to państwo etyków.

Słyszy się dzisiaj często, że etyczna koncepcja państwa jest nie tylko błędna, ale i niebezpieczna, gdyż może prowadzić do totalitaryzmu. Wolność i normy moralne często wchodzą ze sobą w konflikt, trzeba zatem wybierać. Państwo liberalno-demokratyczne zawsze daje prymat wolności, etykę – jako sprawę ważną, ale prywatną – pozostawiając obywatelom (względnie uniwersytetom). Trudno jednak w tym kontekście zrozumieć, dlaczego w takim państwie wciąż jeszcze toleruje się publiczny w końcu urząd Ministra Sprawiedliwości.

Prymat, jakiego współczesne państwo liberalno-demokratyczne udziela wolności, jest słuszny, z tym jednak, że najlepszym gwarantem zachowania wolności w państwie jest sprawiedliwość, zwłaszcza zaś sprawiedliwe prawo.

„Nie ma wolności bez Solidarności” – powtarzali Polacy w latach osiemdziesiątych. Zwykła konsekwencja i odpowiedzialność (także wobec samych siebie) domaga się, aby w latach dziewięćdziesiątych dodali: „Nie ma wolności bez sprawiedliwości”. Tym bardziej że w ostatecznym rachunku odpowiedzialności za sprawiedliwość w państwie nie da się już na nikogo przerzucić. Państwo to my.